

## Oczami wrażliwej duszy

Kiedy po raz pierwszy wyartykułowałam swoje przemyślenia – czy raczej próbowałam zmienić je w ciąg słów, które wówczas z dumą nazwałam swoim pierwszym wierszem – nie miałam pojęcia, jaką podróż rozpoczęłam ani –tym bardziej – dokąd mnie ona zawiedzie...

A było to tak. Zabawę słowem lubiłam od przysłowiowego „zawsze”. Grę zwrotów, które czytane w przeróżnych zestawieniach dawały czasami szokujący skutek – domyślny lub zamierzony. A współczesna poezja – oraz proza (a jakże!) daje takie możliwości – wierzcie mi. Oczywiście zwłaszcza dla tych szczęściarzy umiejących czytać „między wierszami”. Bardzo szybko przekonałam się, że uwielbiam między tymi wierszami przemycać treści czytelne dla owych szczęściarzy. Dla tych wybrańców, wielbicieli oryginału, gardzących banałami i prostactwem (nie mylić z prostotą).

Ale w życiu – jak to w życiu. Są chwile, kiedy naszą – wydawałoby się największą miłość – zastępuje inna największa miłość. I znów jesteśmy owładnięci zawrotem głowy, niespokojnym biciem serca i tymi wszystkimi towarzyszącymi zauroczeniu i zakochaniu (rozkochaniu?) objawami. Jak to bywa, gdy ma się naście lat...Słowa – a zatem wiersze i opowiadania – poszły w ką. Pozostały obowiązkowe zadania domowe z j. polskiego, które nadal odrabiałam z wielkim literackim zacięciem, wkładając w nie zarówno swoją wyobraźnię, której jak dawniej puszczałam wodze, jak i całe swoje serce. Szkoda, że jako młoda osoba nie miałam przy sobie nikogo, kto zachęcałby mnie do dalszej pracy warsztatowej i nie wskazał mi odpowiednich ścieżek, którym powinnam ze swoim literackim zacięciem podążyć. Czy mam o to żal? Nie! To był przywilej czasów, w jakich upływały moje dzieciństwo i młodość. Rodzice zaabsorbowani moją chorobą i raczej zadowoleni, że z powodu niej i licznych pobytów w szpitalach nie pozostają „w tyle” w nauce. Ba! Że jestem wręcz wzorową uczennicą! A poza tym, gdyby nie to wszystko – nie zdarzyłoby się i to, co zdarzyło się potem. Wierzę, że nasze życie jest ciągiem zaplanowanych, następujących po sobie zdarzeń. Przerwanie tego ciągu zmienia ich koniugacje. Pamiętam śmieszne reakcje moich braci podczas zakończeń roku szkolnego, kiedy prawie ironicznie kwitowali moje świadectwa: „No i kto ma świadectwo z paskiem? Oczywiście nasza siostrzyczka!”. Ironizowali, ale ja wiem, że w głębi duszy byli ze mnie bardzo dumni...

Po ukończeniu szkoły podstawowej wybrałam się do liceum ogólnokształcącego w pobliskim miasteczku powiatowym. Nie pamiętam dziś dokładnie, czy był to do końca świadomy wybór. I na ile świadomy. Tu także moją wielką miłością był j. polski, ale...Miałam inne priorytety. Przygotowania do matury i przyszłych studiów. A potem...pojawił się w moim życiu ktoś szczególny i wyjątkowy. I zawładnął nie tylko sercem, ale każdą moją myślą. Miałam wrażenie, że zawładnął każdą nieomalże częścią mnie. Pewnie pomyślałby ktoś, że miłość – bo to uczucie w tamtym czasie zawładnęło moim życiem – to najpiękniejszy temat wierszy. Ale ja właśnie w tym momencie odsunęłam je na dalszy plan. Na bardzo daleki plan! Tym bardziej, że to właśnie owa miłość zaprowadziła nas do stóp ołtarza...Biała suknia, welon, marsz Mendelsohna...Pewnie wiele dziewcząt o tym marzy – nawet, jeśli otwarcie się do tego nie przyznaje. Ja nie marzyłam. No bo jak?

Niepełnosprawna panna młoda? Ale mój przyszły mąż pokochał nas w duecie: mnie i moją chorobę. Mnie i moje niedoskonałości. Mnie i...po prostu mnie – z całym moim bagażem, jakkolwiek by on nie był.

Wrotce rozpoczęliśmy też naszą wspólną, ale najważniejszą, że zwycięską walkę o to, by zostać rodzicami. Nasza córeczka – owoc naszej miłości – przyszła na świat pięknego wiosennego dnia i na zawsze zawładnęła moim życiem. Poświęcałam jej każdą wolną chwilę. A było ich coraz mniej w moim życiu...Za macierzyństwo choroba zapragnęła olbrzymiego haraczu: więcej czasu spędzałam w szpitalach i klinikach niż z ukochanymi – mężem i córeczką. I był taki moment wówczas, kiedy myślałam, że to kres podróży...

Ale los przygotował dla mnie kolejną szansę: drugie życie ofiarowane mi przez bezimiennego bohatera...Pomyślałam wówczas, że to znak, że nie mogę tak „jałowo” żyć. Tylko dla rodziny. Że jestem coś winna światu i ludziom. Że muszę podziękować za dar drugiego życia. Jak? Jak umiem najlepiej – słowami...Wróciłam do pisania. Szło mi z początku opornie. Jakbym uczyła się alfabetu od podstaw. W pewnym sensie tak było. Uczylałam się tworzyć poezję. Z prozą szło mi całkiem nieźle. Już wkrótce pojawiły się pierwsze sukcesy w konkursach literackich. To mnie ośmieliło. Sięgałam po tzw. trudne tematy. Marginalizacja, niepełnosprawność, homoseksualizm, narkomania, alkoholizm, bezdomność, wykluczenie społeczne...Gdzieś tam zawsze udało mi się przemycić w moich tekstach tzw. drugie dno. Niestety – ku mojemu zaskoczeniu – niewielu je dostrzegało, biorąc moje teksty dosłownie. Trochę mnie to zasmucało jako twórczynię. Ale w końcu „poezie czy pisarzowi wystarczy tylko jeden uważny słuchacz – a już ma dla kogo pisać”.

Ja miałam dla kogo pisać. Pierwszymi recenzentami moich prac byli moi najbliżsi: mąż i córka, którzy zawsze bezkrytycznie odnosili się do mojej twórczości. Przyjmowałam zatem ich opinie z przymrużeniem oka. O wiele bardziej ceniłam opinie krytyków literackich podczas uczestnictwa w kolejnych literackich warsztatach. Tak, tak. Doskonaliałam swój warsztat pisarski, jak tylko mogłam. A RP dawała ku temu doskonałe możliwości organizując warsztaty „dla niepełnosprawnych artystów”. Wtedy mi to jeszcze nie przeszkadzało. Byłam szczęśliwa, że uczę się i że największe sławy polskiej poezji czy prozy rzucają okiem na moje teksty. Ba! Nawet je chwalą! Dzisiaj sceptycznie patrzę na to określenie. Bo co ono w końcu oznacza? Artystą albo się jest albo nie. A jakkolwiek dysfunkcja nie ma tu nic do rzeczy. Wrażliwości nie amputuje się z nogą czy inną częścią ciała (chyba, że byłaby to amputacja duszy, ale – o ile mi wiadomo – trudno duszę nazwać „częścią ciała”, a po wtóre – takich amputacji się nie wykonuje...) ani nie traci się jej wraz z utratą wzroku. Artysta musi być wrażliwy. I mieć to „coś”. I tyle.

Na konkursach literackich poetyckich jak i prozatorskich zdobywałam kolejne laury. Jak nietrudno się domyśleć – często były to konkursy dla...”niepełnosprawnych”. Ale próbowałam też sił i stawiałam w szranki z „pełnosprawnymi”. Czasami wygrywałam, ale gale literackie zawsze były dla mnie koszmarem, choć powinny być najszcześniejszymi momentami lub jednymi z najszcześniejszych w moim życiu.

Po moich sukcesach znaleźli się tacy, którzy we mnie uwierzyli i zainwestowali. Ukazały się pierwsze autorskie publikacje: pierwszy tomik poezji, drugi tomik poezji, zbiór

opowiadań. Ale ja czułam niedosyt. Jakby to nie było to, czym w pełni mogę podziękować. Albo...jakbym miała coś jeszcze zrobić. Dla świata, dla ludzi. Dziwiło mnie to, bo stan mojego zdrowia pogarszał się w zastraszającym tempie. Przyjmowałam to spokojnie, pogodzona, że „nic nie trwa wiecznie”. I kiedy znów zaczęłam więcej czasu spędzać w szpitalu niż z najbliższymi stało się TO.

Obdarzono mnie społecznym zaufaniem i wybrano na „szefową” stowarzyszenia działającego na rzecz niepełnosprawnych – a konkretnie na prezesa koła powiatowego Polskiego Związku Niewidomych. Weszłam w to całym sercem i zaangażowałam się każdą cząstką swojego ciała i swojej duszy. Wpadam we wściekłość – w cudzysłowie oczywiście – kiedy przypada kolejna wizyta w klinice i nie mogę tego czasu poświęcić osobom zrzeszonym w naszym kole. Jesteśmy sobie nawzajem potrzebni: praca dla nich, niezwykle intensywna i absorbująca oraz czasami wyczerpująca do granic moich fizycznych możliwości – muszę to przyznać, odciąża mnie od smutnych myśli o moim stanie zdrowia i nie pozwala roztkliwiać się nad sobą, moi członkowie aprobuja moje decyzje i moje pomysły organizacji szkoleń, warsztatów czy imprez integracyjnych twierdząc, że jestem „najlepszym szefem, jakiego mieli”. Nie kryję, że mi to pochlebia. Ale dodaje też sił do pracy. Pracy z nimi i dla nich. Bo najważniejszy sukces, jaki udało mi się osiągnąć podczas swojego krótkiego – bo kilkumiesięcznego – prezesowania to stworzenie zespołu. Zgranej paczki ludzi, którzy tak jak ja widzą sens i potrzebę działania na rzecz osób z dysfunkcją narządu wzroku nie tylko wśród tych, których ta niepełnosprawność dotknęła czy wśród ich najbliższych, ale wśród całego, lokalnego środowiska.

A propos imprez integracyjnych. Zamarzył mi się kiedyś piknik – nie taki zwykły: ognisko i pieczenie kielbasek, ale z przesłaniem. Chciałam, aby osoby niewidome i niedowidzące poznały wszystkimi możliwymi dla nich zmysłami przepiękną i przebogatą borowiacką kulturę – mieszkamy przecież w samym sercu Borów Tucholskich...I choć miejsc do piknikowania tu mnóstwo – jeżeli chodzi o nasze specyficzne środowisko: nie każde miejsce jest nam przyjazne. Dzięki jednak przeprowadzonemu w naszym powiecie projektowi „W labiryntach natury” nawet w Borach Tucholskich znalazłam mnóstwo miejsc piknikowych przyjaznych niewidomym i niedowidzącym. Wybór padł na Nadleśnictwo Woziwoda.

Dojazd do tego czarownego miejsca nie jest – niestety – najdoskonalszy. Trudno liczyć na Państwową Komunikację Samochodową, a i prywatne BUS-y wybierają się w te okolice raczej rzadko. Trakt wiedzie tu jednak wygodny, choć szosa biegnie wśród lasów...Lepiej wybrać się zatem własnym transportem. Jest możliwość noclegu – na polu namiotowym, jeśli ktoś lubi łączyć biwakowe nastroje lub w tzw. szkółce leśnej (mile widziana wcześniejsza rezerwacja miejsc). Nie jest to pięciogwiazdkowy hotel, ale...pobyt w Borach Tucholskich – wierzcie mi – wynagradza wszystkie niedoskonałości☺

Pan Nadleśniczy Z. Grugiel – szef całego leśnego „gospodarstwa” – przyjął nasze towarzystwo niezmiernie gościnnie oddając do użytku zarówno sprzęt jak i pracowników, którzy o lesie wiedzą chyba wszystko...Wybrukowana powierzchnia zabezpieczała przed potknięciami. Nad głowami szumiały lasy. Zwiedzanie ścieżek edukacyjnych zapewnili

pracownicy Nadleśnictwa proponując przejażdżkę specjalnym odkrytym pojazdem tzw. melexem. Biesiadowaliśmy – borowiacko oczywiście – w oddanej nam przez p. Nadleśniczego stodole. Nazwa ta nie ma nic wspólnego z pierwotnym znaczeniem tego słowa, ponieważ budynek jest estetyczny – choć jak na warunki piknikowe przystało drewniany, z estetycznie wykonanymi ławo stołami. Muszę przyznać, że bardzo wygodnymi! Do dyspozycji mieliśmy też zaplecze kuchenne – sanitarne. Oraz nagłośnienie dla zespołu folklorystycznego, który prezentował na mini scenie borowiackie przyśpiewki. Dla chętnych – i odważnych! – „krótka” propozycja spływu kajakowego pobliską Brdą...Słońce uśmiechało się do nas, z fontanny dobiegał wesół plusk wody, pod ogromnym grilllem rozpałał się ogień, w kotłach bulgotała borowiacka grochówka...Byliśmy naprawdę szczęśliwi...A Nadleśnictwo na pożegnanie przygotowało nam niespodziankę: foldery z Nadleśnictwa Woziwoda ze zdjęciem naszej grupy! Każdy uczestnik otrzymał go na pamiątkę i wiem, że zachował jako najmiłsze wspomnienie z Tucholskich Borów...Do dziś otrzymuję telefony od niewidomych i niedowidzących z całego województwa kujawsko – pomorskiego – bo to dla nich zorganizowałam ten piknik – z pytaniem „Kiedy następny?”. I myślę, że przy takim zainteresowaniu nie mogę się lenić! A mamy czym się chwalić i co pokazywać w naszych pięknych Tucholskich Borach! Już mam „na oku” kolejne miejsce przyjazne naszemu środowisku. A uważam, że nie tylko naszemu, ale wszystkim niepełnosprawnym. Niepełnosprawnym? Hmm...TUTAJ nikt tak o nas nie mówi. Nikt tak na nas nie patrzy. Byliśmy zwykłymi piknikowymi gośćmi. I tak się czuliśmy. To piękne – nie uważacie? Bo – pominąwszy aspekt tego, co pod nogami i nad głową – całokształt czyli tzw. atmosfera też jest ważna. Powiedziałabym – najważniejsza. A w Nadleśnictwie Woziwoda atmosfera z pewnością jest☺

Czy to koniec mojej podróży? Kto to wie? Chciałabym, aby był to dopiero początek. Mam nieodparte wrażenie, że rozpinam skrzydła. Że zerwałam się dopiero do lotu. I z perspektywy ptaka patrzę na świat oczami wrażliwej duszy.

Mówi się, że przysłowia są mądrością nardów. Jedno z nich brzmi: „Szukając szczęścia dla innych znajdujemy własne”. Myślę, że w każdym przysłowiu tkwi ziarno prawdy...Nie żałuję, że odkryłam tę prawdę tak późno. Cieszę się, że W OGÓLE ją odkryłam. I skonstatowałam, że najtrudniejsza jest podróż w głąb siebie. To pokrzepiające mimo wszystko, a może nade wszystko, że – jeżeli tam jeszcze nie dotarłam, to z pewnością jestem już w tej podróży. Najtrudniejszej, ale najważniejszej, w jaką każdy człowiek powinien się, moim zdaniem, wybrać. Daleką czy bliską, z przeszkodami czy bez przeszkód – odkrywczą. I dlatego – czarowną...

Elżbieta Kotras